



Zofia Nałkowska

MEDALIONY

MEDALIONY

Zofia Nałkowska

Ludzie ludziom zgotowali ten los.

PROFESOR SPANNER

Tego rana byliśmy tam po raz drugi. Dzień był pogodny, majowy, chłodnawy. Wiatr od morza szedł rześki, coś sprzed lat przypominał. Za drzewami szerokiej, wyasfaltowanej alei stał mur ogrodzenia, za nim ciągnął się rozległy dziedziniec. Wiedzieliśmy już, co przyjdzie nam zobaczyć.

Tym razem towarzyszyło nam dwóch starszych panów. Ci przyszli w charakterze „kolegów” Spannera – obaj profesorowie, obaj lekarze i uczeni. Jeden wysoki, siwy, o twarzy szczupłej i szlachetnej, drugi równie duży, ale przy tym tęgi i ciężki. Jego pełna twarz wyrażała dobroduszość i jakby zatroskanie.

Ubrani byli dość podobnie i nie po naszemu, raczej prowincjonalnie – w czarne, długie wiosenne palta z dobrej wełny. Na głowach mieli miękkie, również czarne kapelusze.

Skromny, nieotynkowany domek z cegły stał w rogu podwórza, na uboczu, jako nieważny pawilon dużego gmachu, w którym mieścił się Instytut Anatomiczny.

Naprzód zeszliśmy do rozległej, ciemnej piwnicy. W pochylym świetle, idącym od dalekich, wysoko umieszczonych okien, umarli leżeli jak wczoraj. Ich ciała, nagie, białokremowe, młode, podobne do twardych rzeźb, były w doskonałym stanie, mimo że czekały tu już od szeregu miesięcy na chwilę, w której wreszcie przestaną być potrzebne.

Leżeli jak w sarkofagach, w cementowych, długich basenach z uniesionymi pokrywami – wzdłuż, jedni na drugich. Mieli ręce opuszczone wzdłuż ciała, nie złożone na piersiach według

pogrzebowego rytuału. A głowy odcięte od torsów tak równo, jakby byli z kamienia.

W jednym z tych sarkofagów leżał na stosie umarłych znany już „marynarz” bez głowy – młodzieniec wspaniały, wielki jak gladiator. Na jego piersi szerokiej wytatuowany był kontur statku. Poprzez sylwetki dwóch kominów przechodził napis wiary daremnej: *Bóg z nami*.

Mijaliśmy jeden za drugim baseny pełne trupów, a obaj cudzoziemscy panowie szli także i także patrzyli. Byli lekarzami i lepiej od nas rozumieli, co to znaczy. Na potrzeby Instytutu Anatomicznego przy uniwersytecie wystarczyłby zapas czternastu trupów. Tu było ich trzysta pięćdziesiąt.

Dwie kadzie zawierały same głowy bezwłose, odcięte od tamtych ciał. Leżały jedne na drugich – twarze człowiecze, niby zesypane do dołu ziemniaki – jak popadło; jedne bokiem, jak się leży na poduszce, inne obrócone w dół albo na wznak. Były żółtawe i gładkie, też świetnie zakonserwowane, też równiutko od karku odcięte, jak z kamienia.

W rogu jednej kadzi spoczywała na wznak ta nieduża, kremowa twarz chłopca, który w chwili śmierci mógł mieć osiemnaście lat. Lekko skośne, ciemne oczy nie były zamknięte, tylko zaledwie spuszczone. Pełne usta, barwy tej samej co twarz, przybrały wyraz cierpliwego, smutnego uśmiechu. Brwi równe i wyraźne unosiły się ku skroniom jakby z niedowierzaniem. Pozostawał tam w tej najdziwniejszej, przechodzącej jego kompetencje sytuacji w oczekiwaniu na ostateczne orzeczenie świata.

Dalej były znowu baseny z umarłymi, a później kadzie z ludźmi przeciętymi na pół, pokrajanymi na części i odartymi ze skóry. W jednym tylko basenie leżały osobno i daleko nieliczne zwłoki kobiet.

Poza tym w podziemiu obejrzelismy jeszcze parę basenów pustych, zaledwie wykończonych, bez pokryw. Oznaczały, że zapas trupów,

potrzebnych żyjącym, był niedostateczny, że istniał zamiar powiększenia całej imprezy.

Później z obu profesorami przeszliśmy do czerwonego domku i tam widzieliśmy na wyziębłym palenisku ogromny kocioł, pełen ciemnej cieczy. Ktoś obyty z terenem uchylił pokrywę i pogrzebaczem wyciągnął na wierzch ociekający płynem, wygotowany tors człowieczy, odarty ze skóry.

W dwóch innych kotłach nie było nic. Ale w pobliżu, na półkach oszklonej szafy, leżały rzędem wygotowane czaszki i piszczele.

Widzieliśmy też skrzynię, a w niej ułożone warstwami oczyszczone z tłuszczu, spreparowane cienko płyty skóry ludzkiej. Na półce stoje z sodą kaustyczną, przy ścianie wmontowany w mur kocioł z zaprawą i duży piec do spalania odpadków i kości.

Wreszcie na wysokim stole kawałki mydła białawego i chropowatego i parę metalowych, powalanych zeschniętym mydłem foremek.

Nie wchodziliśmy już tym razem na strych po drabinie, by oglądać tam zalegające wysoko polepę zsypisko czaszek i kości.

Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę w tej części dziedzińca, gdzie widać ślady spalonych doszczętnie trzech budynków, szczątki pieców metalowych typu krematoryjnego i bardzo licznych rur i przewodów. Wiadomo, że i czerwony domek podpalono już dwukrotnie. Za każdym razem jednak powstający pożar został dostrzeżony i ugaszony.

Wyszliśmy razem z profesorami, którzy od razu odłączyli się od nas i prowadzeni przez kogoś nieznanego udali się w swoją drogę.

2

Przed Komisją zeznaje człowiek młody, chudy i blady, o wyraźnych oczach niebieskich, przyprowadzony na badanie z więzienia. Nie mający pojęcia, czego od niego chcemy.

Mówi z namysłem, poważnie i smutnie. Mówi jednak po polsku, tylko z akcentem obcym, cokolwiek grasejując.

Mówi, że jest gdańszczaninem. Był w szkole powszechnej, później skończył jeszcze sześć klas i zrobił małą maturę. Był ochotnikiem, był harcerzem. Na wojnie dostał się do niewoli i uciekł. Pracował na ulicy przy śniegu, potem w fabryce amunicji. Też uciekł. Rzecz na ogół dzieje się w Gdańsku.

Niemiec zamieszkał u jego matki, gdy ojca zabrali do obozu koncentracyjnego. Ten Niemiec dał mu pracę w tutejszym Instytucie Anatomicznym. I tak dostał się do profesora Spannera.

Profesor Spanner pisał książkę o anatomii i wziął go na preparatora trupów. W uniwersytecie miał wykłady, taki kurs preparatorski dla studentów. Wydawał swoją książkę, dla tej książki pracował. Jego zastępca, profesor Wohlmahn, też pracował – jednak nie może powiedzieć, czy dla jakiej książki, czy tak...

Ta oficyna była wykończona w roku 1943 na Palarnię. Spanner wtedy postarał się o maszyny do oddzielania mięsa i tłuszczu od kości. Z kości miały być robione kościotrupy. W roku 1944 profesor Spanner kazał, żeby studenci odkładali tłuszcz z trupów osobno. Co wieczór po skończeniu kursów, jak studenci odeszli, robotnicy zabierali talerze z tłuszczem. Były też talerze z żyłami i z mięsem. Więc mięso wyrzucali albo palili. Ale ludzie w mieście

skarżyli się policji, więc wtedy profesor kazał, żeby palili w nocy, bo za duży smród był.

Studenci mieli także powiedziane, żeby skórę całkiem czyściutko już odjąć, później tłuszcz czysto, później według książki preparatorskiej muskuły aż do kości. Tłuszcz wybierany przez robotników z talerzy później został leżeć całą zimę, a później, jak studenci wyjeżdżali, był przez pięć-sześć dni wyrobiony na mydło.

Profesor Spanner zbierał również skórę ludzką. Mieli ją ze starszym preparatorem von Bergen wyprawiać i coś z niej robić.

– Starszy preparator von Bergen to był mój bezpośredni przełożony. Zastępcą profesora Spannera był doktor Wohlmann. Profesor Spanner był cywil, ale zgłosił się do SS jako lekarz.

Gdzie jest teraz doktor Spanner, więzień nie wie.

– Spanner odjechał w styczniu 1945 roku. Jak odjeżdżał, kazał nam tłuszcz zbierany w semestrze dalej wypracować, kazał nam porządnie mydło i anatomię robić i sprzątać, żeby ludzko wyglądało. Receptu nie kazał sprzątać, może zapomniał. Mówił, że wróci, ale już nie wrócił. Pocztę, jak wyjechał, posyłali mu do Halle an der Saale, Anatomisches Institut.

Siedzi, zeznając, na krześle pod ścianą, naprzeciwko okien, w świetle. Jest całkowicie widoczny – w swych zastanowieniach i namysłach, w usilnej chęci, aby dokładnie powiedzieć wszystko, jak było, by nie opuścić nic. On jest jeden, a nas jest osób kilkanaście: członkowie Komisji, miejscowe władze, sędownicy.

Nadmiar gorliwości sprawia, że niekiedy bywa niejasny.

– Co to jest recept?

– Recept wisiał na ścianie. Asystentka, która była ze wsi, przywiozła stamtąd recept na mydło i wypisała. Nazywała się Koitek. Asystentka techniczna. Ona też wyjechała, ale do Berlina. Oprócz receptu była jeszcze notatka na ścianie. To napisał von Bergen. Ona dotyczyła

zupełnego oczyszczenia kości do wyrobu kościotrupów. Ale kości się nie udały, zniszczyły się. Albo była za duża temperatura, albo za silny płyn – zatroszczył się jeszcze tym dawnym kłopotem.

– Mydło z receptu zawsze się udało. Tylko raz się nie udało. To ostatnie, co leżało w Palarni na stole, ono nie jest udane.

Produkcja mydła odbywała się w Palarni. Kierował produkcją sam doktor Spanner ze starszym preparatorem von Bergen. Z tym, co jeździł po trupy. Czy jeździłem z nim? Tak jest. Jechałem tylko dwa razy. I do więzienia w Gdańsku też raz.

Trupy przywozili naprzód z domu wariackiego, ale później nie starczyło tych trupów. Wtedy Spanner rozpisał wszędzie do burmistrzów, żeby trupów nie grzebać, tylko że przyśle po zwłoki Instytut. Przywozili ze Stutthoffu z obozu, z Królewca na śmierć skazanych, z Elbląga, z całego Pomorza. Dopiero jak w gdańskim więzieniu wystawili gilotynę, to już było dosyć trupów...